

BARBARA GAWRYLUK

JANEK,
PSEUDONIM „ŻEGOTA”

Ilustracje: Joanna Rusinek



Barbara Gawryluk

Janek, pseudonim „Żegota”

© by Barbara Gawryluk

© by Wydawnictwo Literatura



Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO, realizowanej przez Krakowskie Biuro Festiwalowe ze środków Gminy Miejskiej Kraków

Okładka i ilustracje:

Joanna Rusinek

Redakcja i korekta:

Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2024

ISBN 978-83-8208-264-7

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

We Lwowie

– Janek! Kolacja stygnie! – wołała mama z okna na drugim piętrze starej kamienicy.

Chcieliśmy dokończyć mecz, to był pewnie jeden z ostatnich ciepłych, jesiennych dni. Zbliżała się kolejna ciężka zima, Niemcy okupujący Lwów wprowadzali coraz ostrzejszy reżim, a dla nas, Polaków, każdy dzień był trudniejszy. Kiedy wojska radzieckie zajmowały Lwów w 1939 roku, wydawało się, że nie może się stać nic gorszego. Ale od 1941 roku, po wyparciu Rosjan przez Niemców, nowi okupanci wprowadzili jeszcze trudniejsze do wytrzymania prawa. Na dodatek zaczynało brakować jedzenia, często wyłączano prąd, a żandarmi wzmacniali patrole na ulicach, urządzali łapanki i wywozili ludzi na roboty przymusowe do Niemiec.

Mieszkaliśmy na ulicy Sykstuskiej, w małym mieszkaniu, złożonym z kuchni i dwóch pokoi w amfiladzie. Było zimno, opału wystarczało tylko na kilka nocnych godzin.



Zamknąłem mocno drzwi obite od zewnętrznej strony wypchanym słomą siennikiem. Zatrzymywał resztki ciepła, ale był też schowkiem na tajne gazetki. Gdyby wpadły w niepowołane ręce, można by się było tłumaczyć, że podrzucił je ktoś z zewnątrz.

Na stole tradycyjnie stała waza z zupą o niekreślonym smaku. Wiedziałem, że mama pół dnia spędziła na zdobywaniu czegoś do jedzenia.

– A jak zjem, będę mógł jeszcze na chwilę pójść do Andrzeja? – Miałem do omówienia kilka ważnych spraw z najlepszym przyjacielem.

– Pytaj ojca, ja już nie mam do ciebie siły – kręciła głową mama. – Na pewno coś znowu kombinujecie, nic dobrego z tego nie wyniknie. Jesteście jeszcze dziećmi! Macie się przede wszystkim uczyć! Od walki jest wojsko! Dzieci mają być bezpieczne.

Kilka tygodni temu skończyłem szesnaście lat. Byłem uczniem szkoły handlowej, na jej otwarcie rok wcześniej pozwolili niemieccy okupanci. Uczyliśmy się różnych nudnych przedmiotów, ale cieszyliśmy się, że możemy się codziennie spotykać na lekcjach. A najważniejsze, że w szkole działała też w konspiracji drużyna Szarych Szeregów, utworzona na wzór harcerzy warszawskich. Dostawaliśmy coraz trudniejsze zadania od służb konspiracyjnych. A mama tylko ciągle powtarzała:

– Jezus Maria, zobaczysz, to się źle skończy!

Razem z Andrzejem byliśmy najstarsi w drużynie. Tego wieczora mieliśmy się przygotować do akcji niszczenia niemieckich drogowskazów.

Kiedy do domu wrócił ojciec, nie miał wątpliwości:

– Idź, idź. Ale uważajcie na Rubaszewskiego, znowu go przyłapałem na podsłuchiwanie pod drzwiami.

O Rubaszewskim wielu ludzi mówiło, że jest konfidentem i że donosi do Niemców na działających w konspiracji Polaków. Mieszkał w sąsiedztwie, z wejściem ze wspólnego ganku. Pracował na poczcie, chodził w niemieckim, urzędowym mundurze pocztowym, ale z sąsiadami rozmawiał po polsku. Podpatrzyłem kiedyś, jak z garnkiem przyłożonym do wspólnej ściany usiłował podsłuchać, co się dzieje w naszym mieszkaniu. Od razu powiadomiłem o tym ojca, który jako oficer rezerwy był w ciągłym kontakcie z różnymi ludźmi. Odwiedzali nas czasem na Sykstuskiej. Mama trzaskała wtedy zwykle głośno garnkami i talerzami, jakby chcąc zagłuszyć rozmowy mężczyzn, które i tak prowadzili szeptem. Wiedziałem, że dotyczą kolejnych akcji oporu.

Mój tata brał udział w wojnie obronnej w 1939 roku, a teraz, w czasie okupacji, działał w wywiadzie Armii Krajowej. Od jakiegoś czasu znałem jego pseudonim: „Tatar”. W mieszkaniu ojciec uruchomił niewielki warsztat i razem z moją starszą siostrą Ewą produkowali drewniaki. Dzięki temu mieliśmy wytłumaczenie dla kręcących się po klatce schodowej ludzi, którzy przecież



mogli być klientami. To był też sposób na utrzymanie rodziny po powrocie taty z frontu.

Tata zawsze powtarzał, że w naszej rodzinie ważny jest patriotyczny duch. Pradziadek Apolinary był uczestnikiem powstania styczniowego. Na jego powstańczy grób na cmentarzu Łyczakowskim chodziliśmy kilka razy w roku, również teraz, w czasie okupacji. Na górze powstańców zapalaliśmy świeczkę przy prostym krzyżu, jednym z ponad dwustu stojących obok siebie, jak żołnierze w szeregu.

Dziadek, profesor gimnazjalny, prowadził w czasie okupacji tajne nauczanie. Kiedy najpierw rosyjskie, a potem niemieckie władze okupacyjne likwidowały nauczanie w języku polskim, dziadek organizował w swoim mieszkaniu kursy dla gimnazjalistów i uczył polskiej literatury i historii.

Ale mnie coraz mniej interesowały szkoła i książki. Czułem, że jestem potrzebny gdzie indziej. Tam, gdzie trwały partyzanckie walki.



Dom

Mój dom to był zawsze Lwów. Tu się urodziłem, chodziłem do szkoły, miałem przyjaciół. Moja mama była nauczycielką, a tato pracował jako urzędnik, był też oficerem rezerwy, co po wrześniu 1939 roku zupełnie zmieniło nasze życie. Poszedł wtedy na wojnę, a kiedy wrócił, coraz rzadziej był w domu.

Zanim wybuchła wojna, nasz dom był bardzo spokojny i szczęśliwy. Tato zawsze miał dla nas dużo czasu. To on pokazywał nam Lwów, odkrywał przed nami wszystkie zakątki miasta. Opowiadał o jego skomplikowanej historii, wędrował z nami na Wysoki Zamek, skąd widać było panoramę całego miasta, wstępował do kościołów, cerkwi i synagog, prowadził na najlepsze murzynki i pączki do cukierni Zaleskiego. Dla nas, dzieci, było to najpiękniejsze miejsce w mieście.

Kilka razy w roku wystawa zamieniała się w scenę, na której pojawiały się figurki z cukru, marcepanu i czekolady. Kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia,